



*dr hab.
Bogdan Góralczyk,
prof. UW*

*Centrum Europejskie
Uniwersytetu Warszawskiego*

WOLNORYNKOWE CHINY I ETATYSTYCZNE WĘGRY – ZMIANA MODELU

Autor istotnego dzieła na temat wzrostu i upadku systemu komunistycznego, Archie Brown, zdefiniował kilka podstawowych cech tego ustroju. Zaliczył do nich m.in.: monopol partii komunistycznej, „demokratyczny centralizm” (utożsamiany z wodzem), państwową własność środków produkcji i gospodarkę nakazowo-rozdzielczą. Z kolei najlepszy badacz z naszego regionu, węgierski ekonomista János Kornai – do głównych cech klasycznego ustroju komunistycznego zaliczył: ideologię marksistowsko-leninowską (negującą rynek), centralną rolę państwa – także w gospodarce i systemie własności, biurokratyczną – a nie rynkową – koordynację procesu produkcji oraz miękkie, a więc planowe

i biurokratyczne, zależne od woli człowieka a nie sił rynkowych, sterowanie budżetem oraz „gospodarkę niedoboru”. System ten był spójny tylko w całości. Gdy zabrakło któregoś z jego ogniw, nie był on już komunistyczny (Kornai w takim przypadku pisał o porządku „socjalistycznym”), a stawał się czymś innym, ustrojową hybrydą lub wprost zaprzeczeniem „realnego socjalizmu”.

Od negacji rynku po jego apoteozę

Patrząc z tej perspektywy, Chiny, formalnie pod wodzą Komunistycznej Partii Chin (KPCh) już w latach 80. ubiegłego stulecia, stawały się hybrydą: wprowadzały rozwiązania rynkowe, a gospodarkę niedoboru szybko zamieniły w rynek producenta (choć długo jeszcze nie konsumenta). A potem – gospodarczo – komunizm w każdym wymienionym wyżej wymiarze zanegowały...

Prawdziwy, systemowy przełom nastąpił tam jednak dopiero w 1992 r. z woli stratega i wizjonera obecnych zmian Deng Xiaopinga. Widząc rozpad ZSRR, nakazał on Chinom nie tyle reformy wewnętrzny, jakie przeprowadzano dotąd, ile włączenie się w światowy krwiociąg gospodarczy, a ten był już wtedy całkowicie kapitalistyczny (z wyjątkiem Korei Północnej czy Kuby, bo Wietnam w wymiarze gospodarczym poszedł chińską drogą). Od tego momentu modelem dla Chin stał się państwowy kapitalizm, organizowany na wzór singapurski, gdzie dominował rynek, ale pozostało państwowe planowanie oraz interwencjonizm na drodze do osiągnięcia strategicznych celów.

Chiny, otwierając się na świat, nie mogły przyjąć neoliberalnego pakietu, jaki oferował im Zachód. Po pierwsze ze względu na obawę przed dominacją USA, a po drugie dlatego, że był on totalnym zaprzeczeniem klasycznego socjalizmu i skrajną formą kapitalizmu, stawiającego na dominację wszechmocnej „niewidzialnej ręki rynku” i słaby aparat państwowy.

Gdy po 1992 r. Chiny otworzyły się na świat i świadomie włączyły się w procesy globalizacyjne, stanęły przed dylematem wyboru modelu rozwojowego. Po części z obawy przed amerykańską dominacją, a po części z racji własnego cywilizacyjnego dziedzictwa nie przyjęły forsowanego wówczas przez Waszyngton i główne instytucje systemu Bretton Woods (Bank Światowy i MFW), pakietu neoliberalnego, ochrzczonego mianem „konsensusu waszyngtońskiego”. Nawet mimo tego, że podejmowali u siebie guru tego nurtu, Milтона Friedmana.

Rozpoznany już dziś dobrze „konsensus waszyngtoński” był nie tylko totalnym zaprzeczeniem klasycznego socjalizmu opisanego przez J. Kornai czy A. Browna, ale też specyficzną, w istocie skrajną formą kapitalizmu, stawiającego na dominację „niewidzialnej ręki rynku” w roli koordynatora systemu oraz liberalizację handlu, obrotów kapitałowych czy

przepływów finansowych i prywatyzację. Zgodnie z jego wymogami, państwo miało być słabe, a rynek – wszechmocny.

Tajemnica chińskich sukcesów

Władze w Pekinie uważnie przestudiowały doświadczenia wschodnioazjatyckich gospodarczych tygrysów, począwszy od Japonii i Korei Południowej, po Hongkong, Tajwan czy Singapur (te trzy ostatnie w istocie chińskie, co nie było bez znaczenia). Wnioski były jasne – trzeba stosować inne rozwiązania, niż te proponowane przez Waszyngton. Dość szybko

okazało się, że Chińczycy mają nie tylko odmienne od zachodnich wzorce, ale też nieco inaczej rozłożone priorytety. Zaczęły więc budować własny model, a w centrum jego zainteresowania postawiły wzrost gospodarczy – bez względu na koszty (społeczne, w środowisku naturalnym i inne). Mechanizmami napędowymi realizacji tego nadrzędnego celu stały się eksport i ogromne zasoby taniej siły roboczej, eksploatowanej w sposób isticie dickensowski. Sięgano więc po własne, ogromne rezerwy, ale z równą chęcią stawiano na zagraniczne inwestycje, otwierając wewnętrzny rynek jeszcze bardziej niż Japonia.

Ten model zadziałał! Chiny, najludniejsze państwo świata, przez ponad trzy dekady legitymowały się wzrostem rocznym rzędu 9,8 proc., co było wydarzeniem bez precedensu w dziejach ludzkości. Państwo, które w XXI wiek wkroczyło jako szosta gospodarka świata, w 2010 r. wyprzedziło Japonię i stało się drugą globalną potęgą (trzecią, jeśli liczyć UE jako

całość), a po drodze, w 2009 r., wyprzedziło Niemcy jako największego eksportera na świecie. Od 2013 r. Chiny to także kraj o największej wymianie handlowej. Do tego szybko, wręcz w błyskawicznym tempie, kumulowały one największe na globie rezerwy walutowe, obecnie szacowane na 3,8 biliona dolarów (to równowartość ponad 6-krotnego rocznego PKB Polski!).

Na te procesy nałożył się upadek Lehman Brothers, potem General Motors i innych kolosów amerykańskiej gospodarki (później, jak w przypadku GM,

częściowo wykupowanych przez państwo). Rozpoczął się kryzys na światowych rynkach, przez wielu – w tym np. noblistów z ekonomii Josepha Stiglitz czy Paula Krugmana – utożsamiany z niczym innym jak upadkiem „konsensusu waszyngtońskiego”. Zmiana ta została wnikliwie opisana m.in. przez Naomi Klein w *Doktrynie szoku* czy ostatnio przez koreańskiego ekonomistę z University of Cambridge Ha-Joon Changa (*23 rzeczy, których nie mówią ci o kapitalizmie*).

Zachód i proponowany przezeń model rozwojowy popadł w tarapaty, podczas gdy Chiny święciły bezprecedensowe sukcesy. Nic dziwnego, że powstał prawdziwy ferment ideowy i pojęciowy, prowadzący do zaskakujących wyników. Weźmy dla przykładu tylko dwa rozwiązania – w samych Chinach oraz ostatnio na Węgrzech, które można uznać za pewien symbol.

Już w 2004 r. wykładowca w Chinach Amerykanin Joshua C. Ramo

opisał zarysowany powyżej chiński model rozwojowy, w ramach którego niewidzialna ręka rynku była dość często trzymana na wodzy przez jak najbardziej widzialną ręką państwa (zachowującego monopol nie tylko na program kosmiczny czy zbrojenia, ale też banki, lotnictwo cywilne, przemysł petrochemiczny czy porty morskie). Ramo nazwał ten model „konsensusem z Pekinu”. Jednakże Chińczycy tego pojęcia „nie kupili”. Po pierwsze dlatego, że powstało nie z ich inspiracji, czego bardzo nie lubią, a po drugie (i ważniejsze) ze względu na to,

Zachód i proponowany przezeń model rozwojowy popadł w tarapaty, podczas gdy Chiny święciły bezprecedensowe sukcesy. Jednakże Chińczycy, w przeciwieństwie do świata zachodniego, nie podjęły się misji „krzewienia” swojej drogi. Głównie dlatego, by otwarcie nie przeciwstawiać się Amerykanom, lecz nadal postępować zgodnie z własną zasadą zbierania sił i czekania na dobrą okazję.

by otwarcie nie przeciwstawiać się Amerykanom i Zachodowi, lecz nadal postępować zgodnie ze strategicznymi dyrektywami Deng Xiaopinga, utożsamianymi z głośną zasadą *tao guan yang hui* czyli *zbierania sił i czekania na dobrą okazję*.

Jednak po 2008 r. strategia ta była już nie do utrzymania. Podminowany – gospodarczo i finansowo, a po części także ideowo – Zachód zaczął domagać się, by Chiny, teraz już globalne mocarstwo, brały na swoje barki ciężar światowych problemów i stały się, cytując głośną swego czasu formułę byłego szefa BŚ Roberta Zoellicka, „odpowiedzialnym współudziałowcem”.

Chiny zmieniają ilość w jakość

Tym samym rok 2008, co sobie nie do końca uświadamiamy, stał się ważną cezurą nie tylko dla Zachodu, ale także szybko idących do przodu Chin. Z jednej strony zawirowania na scenie światowej i oczekiwania

świata zachodniego względem Państwa Środka, a z drugiej sytuacja na jego scenie wewnętrznej wywołały – trwającą do dziś i daleką od zakończenia – debatę nie tyle nt. konsensusu z Pekinu, ile „chińskiego modelu rozwojowego” (*Zhongguo moshi*).

W tym samym mniej więcej czasie, gdy Zachód popadł w tarapaty, w kłopotliwy czas wkroczyły także Chiny. Stało się tak po pierwsze dlatego, że dotychczasowy – tak skuteczny – model rozwojowy najwyraźniej się wyczerpał, a po drugie przyniósł on ze sobą ogromne koszty i skutki uboczne, jak zniszczone środowisko naturalne, korupcję, niebotyczne uwłaszczenie nomenklatury spod

znaku KPCh oraz gwałtowne i stale narastające rozwarstwienie (współczynnik Giniego wyższy niż w USA!). Tanie Chiny się skończyły, podobnie jak wyczerpują się proste rezerwy ich wzrostu: surowce i siła robocza na wsi.

Z debaty nad nowym modelem rozwojowym wyłoniły się już zarysy nowego ładu. Teraz Chiny chcą opierać rozwój już nie na eksporcie, lecz wewnętrznej konsumpcji. Priorytetem jest już nie tyle szybki wzrost, lecz – postulowany przez agendy ONZ – „zrównoważony rozwój”. Przy tej okazji ma być odbudowana sieć świadczeń socjalnych, poprzednio dokumentnie rozsypana (przede wszystkim publiczne szkolnictwo i opieka zdrowotna, ale także emerytury).

Wreszcie, Chiny chcą także budować „zieloną” i innowacyjną gospodarkę. Innymi słowy – ilość zamierzają wreszcie zamieniać w jakość. Założenia te władze KPCh potwierdziły w listopadzie 2012 r. w swych postulatach programowych i zaczynają wcielać je w życie.

Dziś Chiny stawiają na zrównoważony rozwój, „zieloną energetykę”, budowę rynku wewnętrznego i odbudowę świadczeń socjalnych. Innymi słowy – zamieniają ilość w jakość. Problem w tym, że na każdym kroku nowej drogi widać bariery, głównie mentalne.

Problem w tym, że na każdym kroku widać bariery, głównie mentalne. Przede wszystkim odezwała się stara, znana zasada *shang you zhengce, xia you duice*, czyli – *założenia płynące z góry napotykalą na oddolne kontradziania*. Innymi słowy, centrum może zakładać sobie co chce, a władze lokalne i tak robią swoje...

Dlatego zasadne jest pytanie: czy teraz też się uda? Trudno powiedzieć, bo to kolejna już w ostatnich dekadach operacja na chińskim umyśle i mentalności, w której panuje chaos (zob. np. cenną książkę Yu Hua *Chiny w dziesięciu słowach*). Nierynkową gospodarkę niedoboru „epoki Mao” (1949–1976) zastąpił rynek, tylko częściowo sterowany przez

Patrząc na Państwo Środka i zachwycając się ich szybkim rozwojem oraz skutecznością prowadzonej polityki, węgierski premier przeoczył zdaje się tylko jedno – że Chiny właśnie zmieniają azymuty swojego modelu rozwojowego! Oni dają więcej rynku, on tymczasem chce więcej państwa!

państwo, a po 1992 r. dodatkowo poddany siłom globalizacji. Teraz, po wyczerpaniu prostych rezerw, znając losy „konsensusu z Waszyngtonu”, Chiny stawiają – po raz pierwszy od wszczęcia reform w grudniu 1978 r. – na obywatela i na jeszcze większą rolę koordynującą rynku. Państwo i władza, dotychczas niekontrolowane, częściowo wynaturzone oraz niebotycznie skorumpowane, mają poddać się nadzorowi, co również jest sytuacją bez precedensu w historii Chińskiej Republiki Ludowej.

Orbán idzie w drugą stronę

Oczywiście, przełomowy 2008 r. wzmógł ogromnie zainteresowanie Chinami poza ich granicami, nawet u nas w Polsce, gdzie od czasu wydarzeń na Placu Tiananmen (4 czerwca 1989 r.) patrzono na nie chłodno i bez empatii. W wielu państwach świata było jednak inaczej. Zaczęto (nawet na uniwersytetach, nie mówiąc o rządowych gabinetach) zastanawiać się, czy przypadkiem model chiński, tak skuteczny, gdy ogląda się go z zewnątrz, nie jest aby doskonałą alternatywą dla skompromitowanego – zdaniem wielu – neoliberalizmu. Zabrzmiała więc nowa melodia starej śpiewki na temat zawodności i rynku, i państwa.

Ponieważ rynek, mający być antidotum na „komunizm”, nie zdał egzaminu jako siła koordynująca,

pojawiły się znowu pomysły, by wrócić do dominującej roli państwa, etatyzmu i odgórnego sterowania. Najjaskrawszy przykład w naszym regionie to Węgry po 2010 r. pod wodzą (to dobry termin) Viktora Orbána. Węgierski premier uznał, czemu dawał wyraz publicznie, że instytucje europejskie nie są w stanie wyprowadzić ani Węgier, ani całej UE z obecnego kryzysu. Ponadto twierdził, niczym niegdyś Mao Zedong, że wiatr rozwoju i postępu płynie teraz ze Wschodu, a nie Zachodu.

Dlatego postawił na nowych partnerów. Najpierw Azerbejdżan, potem Kazachstan, a ostatnio Rosję, rządzoną podobnie silną ręką przez Władimira Putina. W tym gronie znalazły się też Chiny, do których dobijał się przez ostatnie cztery lata, zanim wreszcie w lutym br. dostąpił oficjalnej wizyty z Pekinu (co tym samym jest jego namaszczeniem przez chińską stolicę na kolejną kadencję).

Patrząc na Państwo Środka i zachwycając się ich szybkim rozwojem oraz skutecznością prowadzonej polityki, węgierski premier przeoczył zdaje się tylko jedno - że Chiny właśnie zmieniają azymuty swojego modelu rozwojowego! Oni dają więcej rynku, on tymczasem chce więcej państwa!

Nie jest również pewne, czy Viktor Orbán kiedykolwiek przeczytał dokładnie wypowiedzi „ojca” państwa Singapur Lee Kuan-yew¹. Ten bowiem

Zarówno nadmiar państwa, jak i zbyt wiele rynkowego poluzowania nie zdają egzaminu. Każda ortodoksja prowadzi na manowce. Czyżbyśmy byli skazani na systemowe hybrydy? Gdyby patrzeć na udany eksperyment Singapuru, odpowiedź brzmi: tak!

opowiada się za rynkiem, a przy tym za: zdecydowanym kierownictwem, skuteczną administracją i wreszcie – dyscypliną społeczną. To, jego zdaniem, są podstawowe warunki skutecznego rozwoju. Pierwszy z nich Orbán spełnia. Drugi jest wątpliwy, bo administracja na Węgrzech jest z partyjnego nadania, niczym ta spod znaku KPCh, a to prosta droga do korupcji a nie kompetencji. Natomiast zamiast trzeciego jest na Węgrzech apatia i głęboki podział na tych co z Orbánem i tych, którzy przeciwko niemu. Jak w takich okolicznościach skutecznie modernizować kraj?

Nadmiar państwa już był – i nie jest wskazany. Wiedzą o tym nawet współcześni mandaryni z Pekinu, sprawujący monopol na władzę i własność.

Orbán idzie złą drogą. Podporządkował wszystko, nawet bank centralny, władzy wykonawczej (czyli sobie). A wynegocjowana w tajemnicy, poza parlamentem i społeczeństwem, umowa z Rosją w sprawie rozbudowy elektrowni atomowej w Paks zapachniała wręcz „realnym socjalizmem” i gospodarką nakazowo-rozdzielczą.

Nadmiar rynku także już był – i również nie jest wskazany, jak pokazał rok 2008 i następne lata kryzysu. Każda ortodoksja prowadzi na manowce. Czyżbyśmy byli skazani na systemowe hybrydy? Gdyby patrzeć na udany eksperyment Singapuru, to rynek – i rządy prawa! – powinny być nadrzędne, a państwo powinno sobie tylko zachować rolę interwenta. Pekin już o tym wie. A co na to Budapeszt?

O AUTORZE:

Dr hab. Bogdan Góralczyk jest politologiem i sinologiem, profesorem w Centrum Europejskim UW, byłym ambasadorem w krajach azjatyckich. O Chinach traktują jego tomy: *Chiński Feniks. Paradoxy rosnącego mocarstwa* (2010) oraz *Przebudzenie smoka. Powrót Chin na scenę globalną* (2012).